

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



ZE SKARBÓW NASZEJ PRZYRODY.

Franciszek Chłapowski.

Osobliwości przyrody poznańskiej.

3)

Od przystanku kolejowego Przysieki Niemieckiej, w powiecie śmigielskim, do wsi tejże nazwy, przez łągi obrzańskie prowadzi droga, wysadzona olszyną, która trzyma się zwykle mokradel. Drzewa, mające wogóle dziwaczne kształty, szczególnie fantastycznie wyglądają w nocy przy blasku księżyca. Ta fantastyczność natchnęła Goethego do napisania znanej ballady „Król Dębów”¹⁾.

Piękną tę aleję popsuto, zastępując złamanie olchy jesionami i klonami.

Żałować należy, że tak mało obecnie sadzą wzdłuż dróg topoli włoskich. To też tem bardziej należy strzedz je przed zniszczeniem²⁾.

Co do drzew iglastych spotyka się ich wiele u nas. Olbrzymie sosny widzieć można w powiecie bydgoskim w leśnictwie Wtelnickiem (Wtelno), oraz w pobliżu Parkowa, w pow. obornickim.

Obwód ich pnia wynosi cokolwiek więcej niż 4 metry. Najgrubsza w Księstwie sosna dopiero niedawno została odkryta. Ocienia ona cmentarz niedaleko Nakła w powiecie wyrzyskim. Pień jej ma 4½ m. obwodu. Największy zaś świerk w Poznańskim nie ma nawet 3 m. obwodu, ale za to posiada bardzo bogate i piękne rozgałęzienie.

Rośnie on w Czarniejewie, w pow. witkowskim. Drzewo to prawdopodobnie zostało zasadzone ręką ludzką. Znane są jednak w Księstwie Poznańskim świerki samorodne, mianowicie w zwierzyńcu antonińskim (pow.



ALEJA OLSZOWA, WIODĄCA PRZESZ ŁĘGI OBRZAŃSKIE — NIEDALEKO PRZYSIEKI, P. ŚMIGIELSKI.

¹⁾ Der Erlkoenig (Król Olch) n ylnie na polski język przetłomaczono przez Król Dębów.

²⁾ W Królestwie dużo alei topolowych zniszczonych zostało przez włóścian po uwłaszczeniu, gdy aleje przechodziły przez ich grunta. Widziałem podobny wandalizm w roku 1912.

Przyp. tloni.



NAJWIĘKSZY ŚWIERK W POZNAŃSKIM, W CZERNIEJEWIE, POW. WITKOWSKI.

ostrowskim). Drzewa te są wspaniałe, lubo obwód najgrubszego z nich wynosi zaledwie 2 m. Jak wiadomo zresztą, słoje drzew iglastych są bardzo cienkie.

Jałowiec należy w Poznańskim do bardzo pospolitych krzewów, przybierając często niezwykle dziwaczne formy. Dąży on do tego, by z krzewu wyrosnąć na drzewo i gdzieniegdzie mu się to udało. Najpiękniejsze tego rodzaju

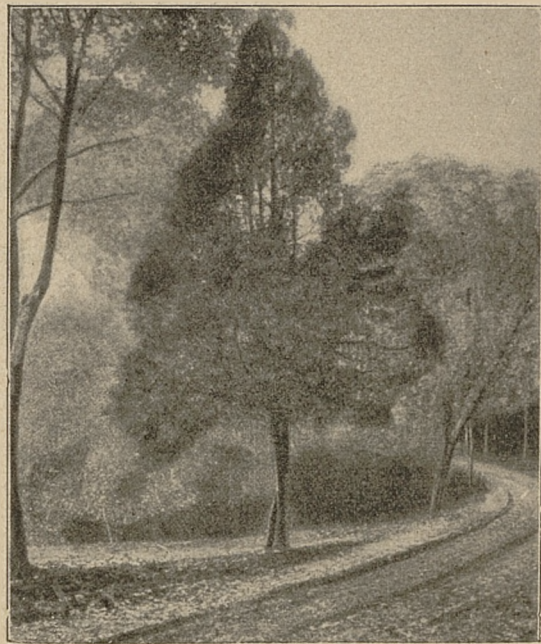


PIĘKNA GRUSZA W BIERZOWIE.

drzewko znajduje się koło Chycin, w powiecie międzyrzeckim. Pień ma cokolwiek więcej niż metr w obwodzie. Korona zaś ma średnicę 4 metrów. Gałęzie zaczynają się na wysokości 2 m.

Przy starannem poszukiwaniu daloby się jeszcze niejedno drzewo jałowcowe odkryć. Najpiękniejsza grupa krzewów jałowcowych występuje na glebie żwirowo-piaskowej w blizkości Bierzowa, w powiecie ostrzeszowskim.

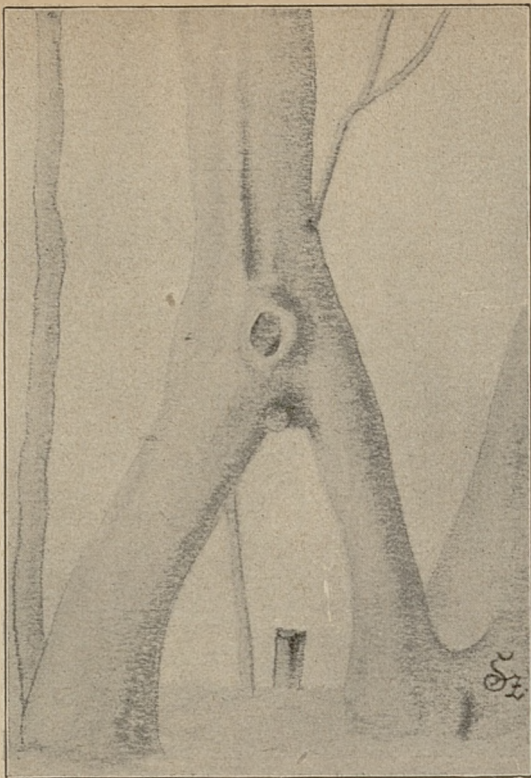
W tej samej miejscowości wznosi się piękna dzika grusza. Korona jej ma 16 metrów średnicy, obwód zaś 3 m., a wysokość 16 m.



NAJWIĘKSZE DRZEWKO JAŁOWCOWE W POZNAŃSKIM, STOJĄCE NIEDALEKO CHYCIŃ, POW. MIĘDZYRZECKI.

Zresztą w całym kraju naszym grusz nie brakuje. Wichry i huragany niszczą często gałęzie grusz, rozproszonych po polach, i nadają im kształty nadzwyczaj dziwaczne. Baśń ludowa załudnia je duchami i widmami, które nocami urządzają sobie przy nich schadzki. Największa grusza ma prawie $4\frac{1}{2}$ m. w obw., wysokość—30 metrów¹⁾, a korona ma 15 m. średnicy. Rośnie ona we wsi Krzemieniu, i mimo swego wieku jest jeszcze użyteczna. Wydaje bowiem rok rocznie przeszło 12 cennarów smacznych gruszek, zwanych tam owsiankami, które głównie spożywają po upieczeniu. Wieśniacy opowiadają, że grusza została zasadzona przed

¹⁾ Wysokość nieprawdopodobna! Czy nie pomyłka? (*Przyp. Red.*)



DWUNOŻNY BUK W BRUDZYNIE, POW. WĘGROWIECKI.

dwunożne. Takim jest dąb w Brójcach, w powiecie międzyrzeckim. Był to w Poznańskim jedyny tego typu egzemplarz, jaki znano do roku 1904. W tym jednak czasie Poznańskie Towarzystwo Przyrodnicze wydało książkę p. t. „Bäume und Wälder“ (Drzewa i lasy), w której podano opis innych drzew dwupiernych, co dowodzi, że wystarczyło zwrócić uwagę czytelników na osobliwości przyrody, aby znaleziono zabytki, koło których chodzono może od dzieciństwa, nie sądząc, że przedstawiają coś osobliwego.

Jak sobie jednak wytłumaczyć powstanie takiego potwornego zjawiska dwupienności. Najczęściej dochodzi do tego dwojako. Na zgniłym, spróchniałym pniu jednego drzewa wykiełkować i wyrosnąć może inne drzewko, które korzeniami swymi przerasta swoje spróchniałe podłoże, jak to np. zdarzyło się w Czernikowie, gdzie jarzębina wyrosła na kasztanowcu czerwonym; o ile drzewko górne dosięgnie korzeniami swymi gruntu — wytworzyć się może drzewo dwunożne. Drugi zaś, i to znacznie częściej występujący sposób, zdarza się wtedy,

14 laty, gdy osiedlili się tu Ślązacy. W tej samej wsi istnieje jeszcze druga grusza, datująca z tej samej epoki, aie drzewo to, już bardzo spróchniałe, ledwo się trzyma.

Należy wymienić też 2 gatunki drzew importowanych z Ameryki, które dochodzą do wielkich rozmiarów. Przedewszystkiem chodzi tu o jawor biało-listny (klon), zasadzony w Antoninie, pod Ostrowem, mający 4 m. grubości i bardzo okazałą, miłą dla oka postać.

Następnie godna uwagi jest akacya, a raczej robinia w Osiecznie, w pow. leszczyńskim. Pień drzewa tego ma 3 m. obwodu i jest kompletnie okryty bluszczem. Robinie mylnie nazywają akacyą. Botanicznie akacya różni się od robinii liśćmi i budową kwiatów; naszego klimatu na wolnem powietrzu nie wytrzymałaby.

Do pomników przyrody mogą też być zaliczone drzewa, nie mające wprawdzie nadzwyczajnych rozmiarów, ale posiadające niezwykle oryginalne kształty. W tym dziale najciekawszymi okazami są drzewa dwupienne albo



JAWOR W ANTONINIE, POD OSTROWEM.

gdy pień jakiego drzewa zostanie skaleczony, przez zaczeplenie, dajmy na to, kołem przejeżdżającego wozu. Albo, gdy dwa drzewka zbyt blisko obok siebie rosnące wskutek wiatru przez wzajemne tarcie skaleczą się — wtedy następuje zrastanie się w miejscach okaleczonych i pokrywając się wspólną korą wytwarzają drzewo dwunożne lub dwupienne.

Wielkie, kuliste naroście, często spotykane na brzozech, powstają inną drogą, a mianowicie wskutek bardzo bujnego rozwoju promieni rdzeniowych. Tworzy się z tego nowotwór. Największy taki nowotwór zachowano w Szamocinie, w powiecie chodzieskim. Brzoza, na której rósł, stała w Skożu, obok Szamocina. Obwód nowotworu wynosi 2 metry, podczas gdy pień drzewa ponad i pod spodem narostu miał tylko 70 cm. Bardzo często widzi się podobne rozwiniecie promieni rdzeniowych u lip i akacyj (robinii).

C. D. N.



JARZĘBINA ROSNĄCA NA KĄSZTANOWCU, W TRZCIANCE, P. CZARNKOWSKI.



Franciszek Gawełek.

PODHORCE.

5)

Syn Wacława, Seweryn, mieszkał tu wprawdzie czas jakiś po powrocie z wygnania, a nawet urządził sobie pracownię alchemiczną na II piętrze, nigdy jednak nie wróciły już Podhorce do dawnej świetności. Targowiczanie wnet je opuścił na zawsze. Umarł 1811 roku w Wiedniu. Żona jego, Konstancja, troszczyła się wprawdzie bardzo o zamek, ale jednak zawsze czegoś brakowało. Za jego rządów wywieziono dużo porcelany chińskiej i saskiej już to do Lwowa, już do Hrehorówki. Część majątku przeszła nawet w inne ręce.

Syn Seweryna, Wacław, ożeniony z Rozalią Lubomirską, uciekał często z domu, splamionego Targowicą. Chętnie przebywał na wschodzie, oddając się studjom orientalnym;

przyjacieli Arabów zyskał od nich tytuł emira. Jemu to, jak wiadomo, poświęcony jest Farys Mickiewicza (Kasyda na cześć Emira Tadż-ul-Fehra), jemu poświęcili poematy Słowacki, Pol i inni. W roku 1831 zginął Wacław bez wieści. Rządy w zamku opanował niejaki Remiszewski, człowiek bez najmniejszego poczucia cudzej własności, wandal. On to spustoszył zamek, zniszczył majątek, z zamku wywoził co się dało: nie tylko dzieła sztuki, ale nawet naczynia stołowe, a w końcu i kamienie z platformy. Po nim to dzieło zniszczenia prowadził w dalszym ciągu Długoborski. Zamek znalazł się nad przepaścią: nie było dachu, w oknach brak było szyb, sale stały otworem.

W roku 1833, po ogłoszeniu amnestyi, wró-

cil z emigracyi prawowity dziedzic Podhorzec, syn Wacława, Leon Rzewuski. Trudne miał zadanie do spełnienia. Pierwszą czynnością było odrestaurowanie dachu i nakrycie go blachą, naprawa okien i zniszczonych murów; platformę nad kazamatami, gdzie Remiszewski płyty pozrywał, zaopatrzył dachem, a nawet na razie słomą rozkazał pokryć. Obrazy kazał odnowić, sufity podeprzeć słupami. Cała restauracja postępowała zwolna do r. 1856.

Skołatany, złamany losem, wpadł Leon Rzewuski w jakąś apatyę. Żyć tu zawsze, rozpamiętywać świetne czyny przodków, ale też i mieć przed oczyma ich występki, ich przewinienia wobec własnej ojczyzny—to za wiele. On, ostatni z rodu, kochał i bolał. Im więcej w swoim uczuciu rodzinnem cierpiał, tem więcej sam tem cierpieniem musiał przywiązywać się do swego domu i do tej puścizny, która była wcieleniem i śladem rodzinnej przeszłości. Tu wszystko mówiło mu o świetnej przeszłości, otaczały go pamiątki rodzinne, ale tu też musiał rozważać, czy potępienie było słuszne, czy nie... Żal był wielki...

W r. 1865 drogą kupna przeszły Podhorzec w ręce Sanguszków z obowiązkiem odrestaurowania zamku, uporządkowania zbiorów i utrzymywania ich w należytych porządku. Nowi dziedzice, skrzętnie wzięwszy się do pracy, doprowadzili zamek w niedługim czasie do należytego porządku. Nad pierwszym piętnem dano nowe belki, mury zewnętrzne odrestaurowano, schody i balustrady naprawiono, zbiory uporządkowano; słowem — zamek odżył i żyje dzisiaj w pełni sił, marzy i tęskni do dawnych, lepszych czasów, a gdy słońce zabłyśnie, uśmiecha się radośnie w nadziei, że dzień wyzwolenia się zbliża...

Do zamku przywiązane są liczne podania o duchach, zjawiających się tam w nocy, niepokojących mieszkańców, proszących o modlitwę i t. p.

Ale zajrzyjmy nareszcie do wnętrza zamku, przypatrzmy się, co w sobie mieści, jakie pamiątki się tu przechowują. Jest ich dużo, a wszystkie równie drogie, równie święte, bo albo przedstawiają osoby czy zdarzenia znane chlubnie w historii, albo, jeśli obce, świadczą o męstwie i dzielności przodków, którzy łupy zdobyte na nieprzyjacielu gromadzili skrzętnie w oczyszczone wnukom na chwałę, wrogom na hańbę i poniżenie. A jeśli spotkasz zdrajców ojczy-

zny, to im przebaczysz, a w sercu wzbudisz postanowienie, że nigdy takimi drogami nie pójdziesz...

Parter przeznaczony jest dzisiaj na mieszkania prywatne obecnych właścicieli. Posadzka ułożona z płyt trembowelskich, na ścianach portrety: Augusta III i jego żony Józefiny, Inkwizycya saska, Stańczyk. Nad drzwiami wiszą olbrzymia kość i ząb mamuta, pod ścianami moździerze i działka wałowe. Po prawej stronie wchód do kredensu i piwnic, po lewej — do pokoju gościnnego, w którym rozwieszono mały namiot turecki.

Idąc wprost przez korytarz, wchodzi się do dawnej, drugiej sieni, dziś pokoju jadalnego, gdzie znajduje się rozpięty wielki namiot turecki z pod Wiednia. Ściany zdobią portrety: Wacława Rzewuskiego (emira) i jego dzieci: Stanisława, Witolda i córki Kaliksty, oraz sztych przedstawiający żonę — Rozalię z Lubomirskich.

Stąd wchodzi się na lewo do saloniku właściciela, również ozdobionego namiotami. Przez pokój jadalny można się dostać do dużego salonu, w którym zawieszono u sufitu wspaniałe namioty dużych rozmiarów. Twierdzenie, jakoby to był namiot z pod Wiednia, musi upaść, jeśli się zauważy, że na rogach znajdują się herby Rzewuskich. Prawdopodobnie była to ich prywatna własność, wykonana na zamówienie. A może później kazali na zdobytych namiotach wyszyć rodzinne herby?

Pokoje gościnne również ozdobione są namiotami; są to namioty z pod Chocimia. Należy zauważyć, że urządzenia na parterze są nowsze.

Z dziedzińca wchodzimy na prawo na szerokie, otwarte schody kamienne, wiodące na platformę. Musimy przejść przez dużą, oszkloną loggię, spoczywającą na okrągłych filarach kamiennych. Platforma, wyłożona dużymi płytami kamiennymi, stanowi dach nad mieszkaniami parterowymi. W środku nad bramą widać zegar słoneczny z napisem: „Haec fortasse ultima“.

Nieco ku zachodowi znajduje się druga loggia a w niej umieszczone cztery działa żelazne polskie. Stąd można wejść do sal zamkowych pierwszego piętra. Sal tych jest 11. Każda otrzymała osobną nazwę zależnie od koloru obicia ścian lub sprzętów, jakie się w niej znajdują.

C. D. N.



LISTY Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

IX. Mój pierwszy odczyt angielski.

Władna pani na oceanach i lądach, rasa anglosaska pono nie o wiele lepiej się oryentuje w sprawach geograficznych, niż przysłowiowi Francuzi. W pociągu między Paryżem a Bordeaux mówił mi pewien komisant, że on wprawdzie nie zna Rosyi, ale brat jego trzy lata mieszkał blisko Warszawy, w Tyflisie. W New Yorku profesor uniwersytetu zaprosił popa serbskiego na obiad, a dowiedziawszy się, że to będzie właśnie sądny dzień, telefonował do Serba, że może zaproszenie robi mu różnicę, gdyż może Serb w tak uroczyste swoje święto woli zostać w domu.

Redaktor jednego z polskich pism w N. Yorku opowiadał mi, jak Amerykanie wyobrażają sobie Rosyę. Rosya jest to państwo słowiańskie, zamieszkane przez Żydów, którzy dzielą się: na Żydów prawosławnych, do nich należą kozacy i sfery rządzące, Żydów katolików, jak Polacy, Litwini, Rusini, i Żydów wyznania mojżeszowego, z których najwybitniejszym był Tołstoj.

O Polsce wiedzą, że to najbiedniejszy i najciemniejszy kraj, skąd ciągną rzesze najzaniebniejszych emigrantów, analfabetów, ostatniej nędzy i szarzyzny. Ten pogląd bardzo bolał mnie i kombinowałem, jakby to trochę wyjaśnić, żeśmy też nie byle kto.

My nie cygany, nie zbójców my zgrają
Przyszli tu! My tu emigracya polska,
Nie lada jakaś zbójcka, warcholska!

Cóż kiedy głębokie moje studia u p. Berlitz'a na Brackiej (godzina na 2 tygodnie) nie wiele mnie nauczyły angielszczyzny, a chciałem sam mówić, bo to dodaje pewnej egzotyczności i daje „charm“, ceniony przez Amerykanów.

Na rogu 2 avenue i 14 ulicy w New-Yorku wznosi się wspaniały gmach z napisem „Labor Temple“. Codziennie wieczorem, a w niedziele i popołudniu odbywają się tam odczyty, pokazy, koncerty, dyskusye, w niedziele zaś rano nabożeństwo. Pastor tutejszy, przemily społecznik, oddaje swą świątynię pracy społecznej. Widzę, ogłaszają odczyty: o Szwarcwaldzie, wycieczka do Skandynawii, Konstantynopol, Trzy dni w dżungli i t. d. Oj, nurtowało mnie, nurtowało, dla czego nie mieliby tu lu-

dzie zobaczyć Krakowa, puszczy Białowieskiej, Morskiego Oka, Pieskowej Skały, janowieckiego zamku lub typów księżackich?

Na szczęście zwierzyłem się z tem nowojorskiemu znajomemu, a był nim naturalnie warszawiak, dr. Lewiński-Corvin, sekretarz Akademii Medycznej, strasznie miły i usługowy młody człowiek, (toć Warszawiak!). Rada w radę, napisałem odczyt o Polsce, przystosowany do tej nowej potrzeby, dr. Lewiński, wychowaniec uniwersytetu Columbia, przetłumaczył mi to na angielski, omówił wszystko z pastorem i Janosik musiał wziąć się do roboty.

Nie tak rwaly się moje przodki pod Wiedeń czy Psków, jak ja się rwałem do tej pracy: cztery noce do trzeciej ślecząłem, o 7 wstawałem, żeby też przecie nie pokpić sprawy, a serce zabiło mi młotem, gdym ujrzał na Labor Temple rozwieszone zawiadomienie: „Poland“ illustrated with 100 colored sliders dr. Alex. Jonowski.

Struchlałem i zaraz sprawilem sobie na dwa dni bardzo sympatyczną blondynkę do poprawiania mej wymowy. Ziewało trochę biędactwo przy tej zajmującej robocie, ale wykuliśmy 21 dużych arkuszowych stron.

W niedzielę o 4 poszliśmy razem (z Lewińskim, nie z blondynką) do Labor Temple, zgromadziło się już około 400 osób, a mnie ciągle w głowie kotłowało „The immensity of the Atlantic now divides me from my native soil—Poland“. (Głębie Atlantyku oddzielają mnie od mej ziemi rodzinnej — Polski).

Na szczęście tuż blisko siedziała pani doktorowa Lewińska z siostrą, panią Zofią Naimską, a jak widzę koło siebie jaką panią Maryę lub p. Zofię, to zaraz nabieram ferworu, więc po życzliwym wstępie pastora i dr. Lewińskiego, ruszyłem—z kopyta: „The immensity of the Atlantic...“ i t. d. przejechałem całe 21 stron po angielsku, na oślep, jak wściekła szarża szwoleżerów. Podobno potakiwałem sobie od czasu do czasu „tak“, „tak“, podobno parę słów powiedziałem po polsku, ale to wszystko było „charm“. Sto kolorowanych „slides“ przesunęło się z wybornej jasnej latarni, zabrzmiały oklaski na zakończenie i dopiero wtedy pojąłem, jaką wzięłem przeszkodę.

Pocziwiy Lewiński siedział cały czas na

estradzie, by mi śpieszyć z pomocą w razie potrzeby. A potrzeba się nasunęła—po odczytanie pastor otworzył dyskusję.

Tu mi się przypomniały nasze posiedzenia z sakramentalną formułą prezesa: „czy kto z państwa życzy sobie zabrać głos w sprawie wygłoszonego referatu?“ Cisza grobowa... tylko p. Tadeusz pyta p. Janiny w 8 rzędzie krzesel po cichutku; „a o czym to był referat?“.

A tutaj inaczej. Posypały się pytania, na które Lewiński zaraz w moim imieniu odpowiadał. Czy Polacy zamierzają sprowadzić zwłoki Chopina, który przecież był Polakiem? Jakież są warunki życia Polaków w Austrii? Czy Rusini stanowią oddzielną narodowość? Co sądzą Polacy o Napoleonie, czy dotrzymał względem nich swych zobowiązań? Czy Curie Skłodowska rzeczywiście pochodzi od szwedzkiego Żyda, który w XVII wieku osiedlił się w Polsce? Jakież prawa mieli Żydzi w dawnej Polsce? Jakież Rosya daje racje i jak się tłumaczy z zaboru Polski? (!!)

Polaki ciągnie się tysiąc lat, jak to prelegent mówił? Czy to prawda, że Polacy mieli w swoim ręku Moskwę? Czy Polacy wierzą w odzyskanie swej niepodległości? Dlaczego w Polsce jest bojkot Żydów?

Takie oto tematy poruszono po tym moim angielskim występie. I to przekonało mnie, że zrobiło się rzecz dobrą, że sprawa wzbudziła zainteresowanie, że odczyty o Polsce i jej życiu zaciekawiają, a jeżeli do tej pory nic tu nie robili nasi w tym kierunku, to stracono doskonałą placówkę, która mogłaby dużo pojąć sprostować.

Mam tę niepłonną nadzieję, że za moim przykładem pójda teraz inni Polacy i wiele rzeczy Amerykanom wyjaśnią. Wierząc głęboko w powodzenie tej sprawy, życzę moim kochanym następcom większej swobody, niż ja ją miałem, gdy, konwulsyjnie oburącz trzymając się rękopisu, puszczał się „in the immensity of the Atlantic“.



Adam Chętnik.

Z ZIELONEJ PUSZCZY.

2)

Puszcza Kurpiowska zajmuje 170,000 dziesięcin przestrzeni, z czego 56,000 dziesięcin lasu znajduje się w czterech leśnictwach: myszyńskim, nowogrodzkim i turoślańskim w ziemi łomżyńskiej, oraz chorzelskim—w ziemi plockiej. Ale dzisiejsza Zielona Puszcza nie jest tą dawną puszczą, w której strzelały wierzchołkami ku niebu sosny masztowe, gdzie trudno było się przedrzeć przez gęstwinę i ostępy, w których zwierzę dziki się gnieździł. Lasy dziś są znacznie przetrzebione, z wykarczowanymi polanami, na których miejscowi osadnicy—puszczaki (kurpie) gospodarują. Pomimo jednak tych zmian są miejscowości, które zawsze przypominają nam puszczański charakter okolicy; gołe piaski, błota grzaskie ze stadami ptactwa, w miejscach wilgotnych zarośla, w innych zaś wcale ładny bór sosnowy i świerkowy są tego dowodem. Ładne lasy znajdują się jeszcze w okolicach Lemana, Serafina, Turośli, Kuciów,

Lipnik. Myszyńca, Czarni, Baranowa, Ostrołęki, Nasiadek, Dąbrówki, Zbójny, Dobrego lasu. Olbrzymie, w drzewa wyrastające jałowce znajdują się w Balikach w pobliżu Pissy, w Olszewce, w okolicach Płoszyc i Łęgu pod Ostrołęką. Nawet na niektórych łąkach i polach zasianych zbożem wyrasta w ogromnej ilości paproć i jałowiec, mówiące do nas, że dla nich, a nie dla innych roślin tu miejsce. Człowiek jednak jest głuchy na protesty paproci: karczując las i na „nowinach“ zasiewa żyto, które ładnie wyrasta na podkładzie z próchnicy. W okolicach Serafina znajduje się pewna odmiana jałowca, która nie wyrasta wysoko, lecz rośnie kępkami, rozpościerając się po piasku, i zapobiega w ten sposób tworzeniu się ruchomych obszarów lotnych. Odwar z tego jałowca z różnymi dodatkami uważany jest za skuteczne lekarstwo i używany podobno do spędzania płodu.

Lasy puszczańskie były dawniej królew-



„ŚRYKI” NA „CALU”.

fol. Ad. Chętnik.

szczyzną, mieszkający zaś w nich kurpie byli w nich zupełnymi panami, opłacając czynsz roczny w naturze starostom królewskim. Dziś prawie wszystkie lasy są rządowe, gospodarstwo zaś leśne prowadzą urzędnicy — nadleśni, ze starszym nadleśnym — rewizorem na czele; nadleśni mają pomocników, poza tem są objaźdowi („objeszczyki”) i leśnicy — stróże leśni. Wszyscy otrzymują prócz pensyi budynki, pola, łąki i drzewo na opał. Urzędy leśne wyznaczają działki drzewa na wycięcie, urządzają licytacje na budulec w kancelaryach leśnych, oraz obsiewają lasem wycięte lub nowe obszary. W tym celu w leśnictwie Nowogrodzkim w Morgownikach urządzona jest suszarnia, dokąd okoliczni mieszkańcy znoszą zbierane szyszki, z których po wysuszeniu wydobywa się nasienie. Tam też są szkółki leśne z sosną i modrzewiem. Grunt lekki i piaszczysty dla sosny jest tu bardzo podatny; w młodych zagajnikach roczny przyrost na „choinie” dochodzi do 1 i nawet $1\frac{1}{2}$ łokcia. Dzięki takiemu rozrostowi sosny wyrastają gładkie i wysmukłe, bardzo odpowiednie na materiał budowlany, nęcący kupców żydowskich i Niemców, którzy zakupują przeważnie działki leśne na licytacyach, poczem przygotowują drzewo do splawiania. Drzewo zakupione może tylko krótki czas pozostawać w lesie, to też kupcy biorą robotników, którzy

przygotowują drzewo do zbijania go w tratwy. Zerżnięte drzewo obcinają z gałęzi i oskrobują z kory. Długość kłoca oskrobanego wynosi 50—60 stóp, reszta zaś, t. j. wiercholki i gałęzie zostają spieniężone na miejscu na opał. Za zerżnięcie i oskrobanie kłoca robotnicy dostają po 40 groszy. Oskrobane kłocce wywożone są przez gospodarzy na „bindugi” czyli place nadrzeczne, wydzierżawiane od poszczególnych właścicieli. Dzierżawa taka wynosi po 3 i 5 kop. od kłoca. Za wywiezienie kłoca z boru gospodarze pobierają po 2 kop. od kubika czyli stopy sześciennej, za kłoc więc 40 kubikowy wypada 80 kop. wozem czy saniami, na odległość 5—7 wiorst. Po wywiezieniu kłoców na wiosnę następuje „zbijanka”, czyli szykowanie drzewa do spuszczenia go na wodę. Zbijanie drzewa jest robotą ważną, dlatego też urządzone są do tego odrębne „warsztaty”, z których największe znajdują się w Tykocinie w Łomżyńskim. W warsztacie takim robotą kieruje „majster”, mający do pomocy „starszych” i „zwyczajnych” robotników. Majster taki zarabia do 3 rb. dziennie, starsi robotnicy po rb. 1 k. 50, zwyczajni zaś, staczający kłocce do wody — po 60—75 kop. dziennie. Robotnicy prawie wszystko robią za pomocą rąk i drągów bez maszyn pomocniczych i narzędzi do dźwigania. Zwalone kłocce w wodzie zbija się



fot. Ad. Chętnik.

OBALANIE „ŚRYKA” PRZED RUSZENIEM.

„ramionami“ czyli drągami sosnowymi, którymi stwierdza (zbija) się kłocze zapomocą dużych żelaznych gwoździ. Kopa (60 szt.) ramion służy do zbicia 10 tafli drzewa. „Tafla“ zawiera w sobie 10 kłoców, ogólnej szerokości 14 stóp, długości zaś 50—60 stóp. Z 10 takich tafli wiąże się „pas“, zawierający razem 100 sztuk drzewa. Pojedyncze tafle wiązano dawniej dębowymi wiązadłami, na które szły całe setki i tysiące młodej dębiny; wyrobem wiązadeł trudnili się specjaliści, którzy młody dębczak prażyli w ogniu, potem zaś za pomocą bardzo prostych przyrządów skręcali jak linę, tworząc następnie wiązadło — pętlicę. Obecnie wiązadła te robione są z drutu żelaznego, umyślnie wyrabianego w fabrykach. Na warsztatach komplet robotników zbija dziennie 5 tafli po 10 sztuk drzewa w każdej. Pozbijane na wodzie pasy nie są jeszcze gotowe do drogi; urządzają jeszcze na nich „drygawki“ czyli ogromne wiosła, wyciosane z całych prostych kłoców i przymocowane na przodzie i końcu pasa czyli tratwy; drygawki te spełniają tę rolę, co ster u łódki i statków. Obok drygawek ważną bardzo rzeczą na tratwach są „śryki“, czyli pale brzo-zowe, służące do „śrykowania“ czyli zatrzymania i palowania tratwy w danym miejscu. Śryków takich idzie na tratwę po 15 sztuk. Na

śryki te idą prawie wszystkie lasy brzo-zowe, leżące nad Narwią, a kopa ich kosztuje 70 rb. Robią jeszcze na tratwach mieszkania dla orylów — „budy“ ze słomy i desek, oraz kuchnie do gotowania z kamieni i darni. Mieszkanie dla kasyera głównego lub kupca nazywa się „skarbowką“ i jest zbudowane z samych desek.

Na „orylkę“ idą na wiosnę okoliczni mieszkańcy: rybacy, robotnicy i inni. Na czele flisaków należących do jednej „kolei“ czyli szeregu tratw, będących własnością jednego właściciela, stoi „retman“ — zawodowy oryl, znający na wylot rzekę i płynący zawsze na przodzie w małej lekkiej łódce z cienkich desek skleconej. Retman taki siada niekiedy na wysokim wzgórzu i komenderuje doniosłym głosem: „Ca-lem do łą-du!“ albo „Pu-uszczaj śryka!“ i t. p. A tratwy wtedy płyną jedna za drugą jak wojsko defilujące przed swym generałem. Zaznaczyć warto, że przód tratwy nazywa się „głową“, tył „calem“, a środek — „buchtą“. Do spychania tratw w bok prócz drygawek służą „szpryce“, czyli długie mocne drążki z obsadą do ręki.

Praca flisaków jest ciężka i niebezpieczna już to z powodu wypadków utonięć, już nadmiaru wilgoci. Zarobki również nie są zbyt wielkie: flisak pobiera rb. 4 tygodniowo „strawne-



ROŚLINNOŚĆ NA TRATWACH.

rot. Ad Chętnik.

go“ czyli pieniędzy na życie i do 10 rb. „myta“ czyli zapłaty za doprowadzenie tratw na miejsce przeznaczenia. Podróż trwa od 3 do 6 tygodni, w którym to czasie oryl może zaoszczędzić 25 rb. Retman bierze 8—10 rb. tygodniowo strawnego i 80 do 100 rb. zapłaty, za ten sam czas co i oryle. Na każdą tratwę potrzeba 10 ludzi. Oryle, przystając w miasteczkach, przyczyniają się do podniesienia w nich handlu oraz... pijaństwa. W czasie takich przystanków ładnie bardzo wygląda Narew, szczególnie wieczorem, gdy na tratwach zabłysną dziesiątki ognisk na „kuchniach“, przy których gotuje się strawa, sami zaś flisacy śpiewają lub grają od ucha na skrzypcach i klawercie lub harmonii „półtonówce“. Zapomina wtedy każdy oryl o pracy ciężkiej i niebezpieczeństwach, śmiechy i wesołość biją z każdej twarzy, po kolacyi zaś często idą na tańce do karczmy lub znajomych flisaków z nadrzecznego miasteczka.

Jedna stopa sześcienna surowego drzewa waży 1,6 puda a dostawa jego np. ze szluzu Dębowa do Torunia kosztuje 0,009 kop. Ceny w poniższej tablicy obliczane są za drzewo I klasy, które składa się z kłóców mających średnią objętość 40 stóp sześciennych. Drzewo kl. II — od 20—25 stóp

Skąd splawiane jest drzewo	Dokąd	Droga przebyta w wiorstach	Cena dostarczenia 1 stopy kub. w kop.	Jaka dostawa i inne uwagi
rz. Narew, miasto Tykocin	i n n i a T o r u n i a	478	3 $\frac{1}{2}$ —5	dostarczenie gotowego drzewa związanego
osada Wizna		441	4 $\frac{1}{2}$	zbijanie i dostarczenie zbijanego drzewa
miasto Pultusk		241	4	tak samo
Kanał Augustowski, szluz Dębowo		511	5	dostarczenie drzewa zbijanego na Kanale Augustawskim
rz. Niemen z dopływami		908	10	drzewo zbijane, ceny wraz z przepuszczaniem go przez szluz na kanale
rz. Orzyc, wieś Drążdżewo	w. Zamsk	59	5	dostawa do Narwi
rz. Omulew, w. Binduga	m. Ostrolęka	46	5	jak wyżej
rz. Pisna, w. Wincenta	os. Nowogród	58	1 $\frac{1}{2}$	„ „
rzeki: Supraśl, Cokałda, Narwa i Narewka . .	m. Tykocin	162	3	z dostarczeniem do Tykocina, gdzie tratwy zbijają, czyli „korygują“

¹⁾ Zestawienie podług danych statystycznych inżyniera wodnego p. Zaporina.

sześć. Drzewo klasy III spotyka się rzadziej i do Prus wcale nie idzie.

Koszt dostarczenia 1 st. sześć. drzewa tratów II kl. wynosi o 1/2 kop. drożej od drzewa kl. I, a kl. III o 1 kop. drożej niż kl. I; różnica wynika stąd, że drzewo w gorszym gatunku, cieńsze pociąga większe koszty przy zbijaniu go do wody. W rachunek ogólny dostarczania tratów wchodzić prócz zbijania i wiązania: wartość wiązań, pensya kasyera, retmana i robotników-flisaków, mostowe i szluzu.

Wartość dostawy (patrz tablicę) 1 stopy sześciennnej po dopływach Narwi jest bardzo wysoka i przewyższa nieraz 10-krotnie wartość spławu tratów po Narwi. Przyczyna tego tkwi w nienormalnych warunkach spławiania drzewa po dopływach. Pełno na nich młynów i tam, które są do zupełnego rozporządzenia młynarzy. Za przepuszczenie tratów przez tamy młynarze na Omulwi biorą po 7 — 8 kop. od jednego kłoca, i właśnie pobory te podnoszą drzewo w cenę. Naprzykład na tej samej Omulwi za tratwę, składającą się z 3,000 sztuk kłoców I klasy, przy przechodzeniu przez 7 tam młynarskich trzeba zapłacić średnio po 50 kop. od kłoców, czyli za wszystkie 3000 × 50 = rb. 1500, a kiedy cała tratwa posiada 3000 × 40 = 120,000 stóp sześć. drzewa, to na jedną stopę sześcienną wypada 1,2 kop. Prócz tego są wtedy koszty przy postojach, robota bowiem przy tamach jest nader przykra i zabiera sporo czasu, za który flisacy każą sobie płacić. Wskutek takich niedogodności niektórzy z kupców wolą wieźć drzewo do Narwi wprost furmankami lub sankami. Jeden z takich kupców wioził drzewo 28 wiorst i taniej mu to wyniosło niż po Omulwi.

Sporo też kosztuje opłata mostowego: w Ostrołęce, Wierzbicy, Zegrzu, Płocku i Włocławku. A mianowicie kolej drzewa, mająca 35 pasów czyli 400 tafli, mających 5,660 sztuk kłoców musi zapłacić:

w Ostrołęce	35×60 =21	rb. — kop.
„ Wierzbicy	5660× 1/2=28	„ 30 „
„ Zegrzu	5660× 1/2=28	„ 30 „
„ Płocku	5660×1 1/2=84	„ 90 „
„ Włocławku	400×40=160	„ — „
Razem 322 rb. 50 kop.		

co wynosi na 1 stopę sześcienną 0,142 kop. mostowego, które równa się 4% ogólnego kosztu przewozu 1 stopy sześć. drzewa (3 1/2 kop.) z Tykocina do Torunia. W powyższem zestawieniu widzimy ceny pobierane od pasów (Ostrołęka), pojedynczych sztuk (Wierzbica, Ze-



fot. Ad Chętnik.
 SOSNA W MORGOWNIKACH, POW. KOLNEŃSKI.

grze i Płock) oraz od tafli (Włocławek), przy-czem ceny różnią się bardzo, zależnie od tego, czy mosty są stałe czy też tyżwowe.

Grube drzewo, wypływające z Puszczy Białowieskiej na Narew, w połowie lata w czasie małej wody zmuszone jest zatrzymać się, co znowu zwiększa koszt. Ten koszt nadzwyczajny kolei drzewa z 7 tratów, z 1 retmanem i 2 pomocnikami, 7 starszymi robotnikami i 63 zwyczajnymi flisakami, którzy dostają pensję tygodniową wynosi: pensya retmana 10 rb., pomocników po 8 rb., starszych robotników po 6 rb. i flisakom po 5 rb. tyg.

Jeżeli więc w powyższych warunkach drzewo zatrzyma się na jedną dobę, to kupiec — właściciel drzewa ma straty:

$$10/7 \times 1 + 8/7 \times 2 + 6/7 \times 7 + 5/7 \times 63 = 54 \text{ rb. } 71 \text{ k.}$$

Tak bywa przy małej wodzie, ale niekiedy tyleż trzeba płacić i przy dużej wodzie. W roku ubiegłym 1913 woda na Narwi była tak duża, a koryto tak głębokie, że najdłuższy sryk dna nie sięgał i drzewa spławiać nie można było, przy szybszym do tego prądzie. Wobec tego tratwy przez dwa tygodnie czekały aż woda opadnie. Do tego zaś jeszcze drzewo stojące gdzieś przy lądzie—brzegu, należącym do danej gminy lub wioski, wpływa bardzo na podmywanie brzegów przez wodę, za co znowu

placi się podatek. Tak więc straty są duże, tem bardziej, że ceny na drzewo stale się zmieniają, a kupcy mają kontrakty na dostawę wcześniej przewidzianą. Mimo to jednak co rok drzewo zostaje rozkupione i spalwione, a na kupcach biedy nie znać.

Z powodu wywożenia drzewa zagranicę jest ono drogie i czasami wprost niedostępne

dla ludzi biedniejszych; powstał więc prąd nad Narwią, ażeby handel drzewem i flisactwo ująć w ręce polskie, używszy na to pieniędzy „amerykańskich“, oraz zapomóg i pożyczek z kas kredytowych prywatnych. Ale wtedy potrzebne nam będą przystanie rzeczne nie w Toruniu jak dziś, ale gdzieś w Ciechocinku lub Włocławku.

C. D. N.



Ludwik Sawicki.

Trąba śnieżna w okolicy Warszawy.

„Przyroda nie działa skokami“ — a jednakże istnieją kataklizmy i zjawiska wbrew obliczeniom i przewidywaniom człowieka. Bo i kto by przypuścił możliwość błyskawicy w styczniu i trąby śnieżnej w okolicy Warszawy. Było to dnia 3 stycznia r. b.; rano padał mokry śnieg, niebo zaś zaciągnięte było chmurami, które koło południa rozegnał dość silny wiatr zachodni: ukazało się słońce i dzień do końca był jasny, tylko nad widnokregiem ciągnął się nieprzerwany łańcuch chmur. W przeddzień spadł obficie śnieg, a wieczorem tegoż dnia widziałem błyskawicę na południowej stronie nieba.

Była za 15 minut 2 pp., kiedy znajdowałem się na nasypie w pobliżu stacji Utraty (dr. żel. W. W. o 12 w. od Warszawy), śpiesząc na pociąg; wtem na północno-zachodniej stronie nieba zobaczyłem dziwne zjawisko. Oto od Ożarowa szedł ku mnie biały słup, wlokąc za sobą białą jak mleko ścianę, za którą ginęły dobrze znane mi okolice. Ile miało uroku w sobie, ile potęgi to cudne zjawisko — za ubogi jest język człowieka, by mógł je opisać: z nieba spuszczały się zwały chmur ku ziemi, łącząc się z jej powierzchnią, i raptem błękitne niebo przesłonił biały całun; na czele jego szedł słup, lśniący w promieniach słońca — niebo trochę pociemniało, odbijając pełnym grozy kontrastem. Słup z każdą chwilą zbliżał się i dokładnie zobaczyłem, jak się kłębi, wiruje, podobny do ścieśnionego stoika, którego górna podstawa łączyła się z niebem. W oddali widniał inny słup, zdążający za pierwszym.

Po chwili zakotłowało się i tumany śniegu rozniósł silny wiatr, z początku na wschód, a potem promienisto, aż objął całą przestrzeń, prąc przed sobą z szaloną siłą masy krup śnieżnych; zrobiło się tak ciemno, że o krok nic nie było widać, jeno z szumem przelatwały masy śniegu, tamujące oddech i porywające z sobą wszystko. Szczególnie piękny był moment, kiedy od wirujących słupów oderwał się tuman śniegu i zbliżał się, zasypując okolicę białą masą — było to coś niezwykłego, niczem nie przypominającego największej nawet śnieżycy.

Obie trąby znajdowały się w odległości mniej więcej 4 kilometrów; jeśli zważymy, że przestrzeń tę wiatr obciążony śniegiem przebył w ciągu 2 minut, będziemy mieli przeciętną jego szybkość na sekundę — przeszło 30 metrów. Kierunek śnieżycy od północnego wschodu na południowy zachód związany był z ruchami samej trąby, która posuwała się na Pruszków i dalej. Śnieżycy trwała z 10 minut i przez cały ten czas dął silny wiatr północny, poczem wypogodziło się zupełnie. Kierunek krup śnieżnych był poziomy, jak gdyby wyrzucała je jakaś tajemnicza siła z czeluści, znajdującej się gdzieś nisko.

Zjawisko to miało charakter czysto lokalny (w Warszawie nikt o niem nie wiedział) i żałować tylko należy, że nie mamy danych, stwierdzających dalszy kierunek jego, oraz, że żadna ze stacji meteorologicznych nie zdołała utrwalić ani ilości opadu, ani siły huraganu, ani ciśnienia i temperatury.

oooooooooooo

Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Komisyja wycieczkowa P. T. Kraj. w Warszawie zapowiadała luty następujące wycieczki miejskie:

1 lutego — Pivnice Seydla, prowadzi p. K. Maszki.

2 lutego — Zakłady Lenwala, prowadzi p. J. Gebethnerówna.

6 lutego — Obserwatorium Astronomiczne, prowadzi p. T. Podkomorski.

8 lutego — Gabinet Zoologiczny, prowadzi p. Kuropatwiński.

15 lutego — Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, prowadzi p. Biedrzycki.

22 lutego — Zakłady Gazowe na Czystem, prowadzi p. W. Szelażek.

1 marca — Szkoła zgromadzenia Kupców, prowadzi p. W. Szelażek.

8 marca — Elektrownia Oświetlenia, prowadzi p. Chelmiński.

oooooooooooo

Przebieg pogody w miesiącu grudniu 1913 r.

Sprawozdanie Kom. Flzyograficznej P. T. Kr.

W ciągu ubiegłego grudnia panowała w Królestwie pogoda niezwykle łagodna, lecz zarazem bardzo słotna.

Temperatury przeważnie pozostawały nad punktem zamarzania wody. Umiarkowanie mroźne dnie wydarzyły się tylko około 8, 18, 26 i 31 grudnia. Najniższe temperatury wyniosły od -6° do -9° C. Najcieplej było w początku miesiąca, gdy temperatury po południu przekraczały miejscami 10° C.

Temperatury średnie za dobę niemal stale przekraczały normę, a w średniej miesięcznej (około $1^{\circ},6$ C.) przekroczyły normę aż o 3° .

Słońce świeciło nader skąpo: np. w Warszawie wszystkiego tylko 6 godzin, gdy zwykle w grudniu świeci 28 godzin.

W związku ze wzmoczonem zachmurzeniem opady były niezwykle częste i na większej części kraju nadmiernie obfite. Przeciętnie spadło przez cały miesiąc 58 mm. wody w 21—22 dniach, gdy wartości średnie z trzynastu lat wynoszą tylko 39 mm. w 16 dniach. Wszelako w okolicach Kalisza i w południowych częściach Kieleckiego, Radomskiego i Lubelskiego opady, choć równie częste, były umiarkowane, a nawet nieco za skąpe (20 do 40 mm.). W Piotrkowskiem zato spadło miejscami przeszło 70 mm. wody, a w Łomżyńskim i Suwalskiem 80 i nawet 90 mm. Deszcze przychodziły naprzemian ze śniegami, lecz i te szybko topniały i nie tworzyły trwalej pokrywy śnieżnej.

Wiatry wiały przeważnie z południowego zachodu i nieraz przechodziły w wichurę.

Na Litwie i Rusi temperatury były tak samo łagodne. Opady były nadmiernie obfite, zwłaszcza

na Litwie. Przez cały miesiąc dziedzina wysokiego ciśnienia zalegała przeważnie w południowo-zachodniej Europie, a częste depresje przechodziły z Atlantyku na Bałtyk i do Rosyi środkowej i sprowadzały u nas częste sloty. W dniach 25 i 29 przeszły przez nasz kraj depresye.

Niżej są zamieszczone niektóre dane ze stacyi P. T. Kr.

a) Temperatura:

Jędrzejów: Temp. średnia mies. $1^{\circ},1$ Temp. maks. $+12^{\circ},5$ dnia 4-go. Temp. minim. $-6^{\circ},1$ dnia 31-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Ostrołęka (Łomżyńskie)	71	22
Suchedniów (p. kielecki)	55	22
Jędrzejów	41	23
Miechów	40	21
Olkusz	65	16
Wysokie (p. krasnostawski)	55	23

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 21 godz.

oooooooooooo

Z piśmiennictwa.

Jako numer noworoczny, a zarazem tysięczny numer wydawnictwa, wydał *Dziennik Kujawski*, redagowany od paru lat przez p. W. Ambroziewicza, ozdoby, obficie ilustrowany zeszyt, obrazujący w szeregu artykułów teren swej bezpośredniej działalności: Kujawy i ziemię dobrzyńską. Artykuły te, pisane prawie wyłącznie przez siły miejscowe, nie są bynajmniej, jak się aż nazbyt często zdarza, suchymi wycinkami ze „Słownika Geograficznego” lub Encyklopedyi, tylko wiązaną niewielkich, ale opartych na poważniejszych samodzielnych studyach i obserwacjach prac, będących istotnie skromnym, ale cennym przyczynkiem do znajomości okolicy. Rozpoczyna je fizyografia terenu, szkicowana przez p. R. Kobendzę: „Krajobraz Kujaw” i „Flora”, oraz p. A. Byszewskiego „Pochodzenie i typy gleb pow. włocławskiego”; w dalszym ciągu idą drobne szkice, odtwarzające Stary i Nowy Włocławek; o „Włocławskiej rzeźni miejskiej” pisze p. H. Sz., o „Kooperatywie na Kujawach” Grot, o „Uprzemysłowieniu okolicy Czerniewic” p. J. S. Kończy interesujący numer zarys instytucji włocławskich i opisy kilku miasteczek okolicznych, oraz ziemi dobrzyńskiej i łączyczej. Ilustracje bardzo liczne i starannie dobrane, choć niestety na tym gatunku papieru, na jakim numer odbito, mało wyraźne.

Można szczerze powinszować „Dziennikowi Kujawskiemu” dobrego pomysłu i starannego wykonania, a gorąco pragnąć należy, ażeby ten dobry przykład poświęcenia baczniejszej uwagi najbliższemu swemu otoczeniu znalazł i gdzieindziej jak najliczniejszych naśladowców.

T.-t.

oooooooooooo

Nowe książki.

Edward Maliszewski. Polacy i Polskość na Litwie i Rusi. (Odbitka z Kalendarza „Gońca” r. 1914).

Sprawa naszej liczebności na Litwie i Rusi jest zawsze sprawą na dobie — jednakże dojść do wyników, jako tako zbliżonych do rzeczywistości, jest zadaniem prawie niewykonalnem. Dwie są przyczyny, nie pozwalające na rozstrzygnięcie tego zawilego zagadnienia.

Pierwszą przyczyną jest jakość materiału etnograficznego, który w znacznej części trudno daje się scharakteryzować. Pewna część ludności Litwy i Rusi z wyznania katolicka, a w swej spuściźnie kulturalnej posiadająca pierwiastki prawie wyłącznie polskie, językowo nie jest żywiołem jednolitym, gdyż na południe od Prypeci równoległe do polskiego używa też języka ukraińskiego (ruskiego), na północ od Prypeci — posilkuje się białoruszczyzną, wówczas gdy pewne ilości drobnej szlachty, włościan i mieszkańców miasteczek na Litwie etnograficznej i na Żmudzi równoległe do polskiego używają i litewszczyzny. Dodać do tego należy, że ta ludność dwujęzyczna wytwarza mnóstwo typów zmieszania językowego: od częściowego używania języka niepolskiego aż do posilkowania się polszczyzną tylko w stosunkach zewnętrznych, oraz że poczucie narodowości bywa nieraz dość nikle, a w zapadłych kątach przy małym zetknięciu ze światem zewnętrznym jeszcze lat temu 10—15 bywały wypadki, że poczucie narodowości wcale nie istniało. Tu statystyka, chociażby miała metodę jak najbardziej naukową i była wolna od wszelkich celów ubocznych, ma ciężkie przeszkody do zwalczania, gdyż właściwie obok niezaprzeczonego żywiołu polskiego istnieje tu pewien materiał etnograficzny, który może takim pozostawać jeszcze przez szereg pokoleń, ale przeniesiony w pewne warunki zewnętrzne staje się żywiołem polskim. Ten materiał etnograficzny na północnym zachodzie omawianego obszaru w rzadkich wypadkach może zasilać szeregi nowowytworzącej się narodowości litewskiej, ale do świadomej białoruszczyzny przejście tu bardzo utrudnione, gdyż aspiracyi kulturalnych do samoistności etnograficznej jeszcze 8—9 lat temu prawie wcale nie było. Ten żywioł etnograficznie przejściowy, nawet znalazłszy się w otoczeniu wielkorusyjskiem, jeszcze znajduje podstawę swej samoistności w wyznaniu katolickiem.

Drugą przyczyną jest wysoce niezadowolający stan statystyki, co zależy nie tylko od jakości materiału, ale i od bardzo swoistych przyczyn biurokratycznych, tak samo miejscowych jak i ogólnopństwowych. Te względy autor miał na myśli, gdy za motto przytoczył słowa H. Korwin-Milewskiego: „Trzeba być trzy razy Polakiem i z niezwykłą mocą umieć stwierdzić swą narodowość, by za takiego zostać uznanym w statystykach rosyjskich”. Czasami dzieją się rzeczy, które obok celów specjalnie quasipañstwowych wykazują chyba prostoprostu bardzo niski poziom techniki statystycznej; naprz. rubryceli, a więc źródło raczej zmniejszające liczebność katolików niż odwrotnie, dyce-

zy Łucko-Żytomierskiej w r. 1895 wykazywała przeszło 650 tys. katolików, a w dwa lata później pierwszy w państwie rosyjskim spis jednodniowy znalazł tam katolików 455 tys.; tak przynajmniej prasa kijowska pisała o tymczasowych obliczeniach spisu.

Wobec takiego stanu rzeczy każdy autor, piszący o zaludnieniu dziewięciu t. zw. guberni zachodnich, nie tylko jest upoważniony posługiwać się metodą subiektywną, ale wręcz musi się do niej uciekać, gdyż inaczej zamilowanie do ścisłości i do źródeł drukowanych wprowadziłoby go w takie trzęsawisko naukowe, że wszelkie zaufanie do jego wyników musiałoby zniknąć. Takim przykładem może być znany „Zarys etnograficzno-statystyczny” Czyńskiego, który, zaufawszy źródłom drukowanym, osiągnął wyniki niemożliwe do przyjęcia przez znawców stosunków miejscowych, bo naprz. trudno zgodzić się, że w pow. wileńskim jest tylko 12, 1% ludności polskiej, a w sokólskim 1,2%.

Autor pracy wymienionej w nagłówku rozpatruje dane liczbowe, pochodzące nie tylko ze spisu jednodniowego z uwzględnieniem przyrostu naturalnego (kiedy chodzi o 17 lat, sposób to sam przez się wielce zawodny!), ale też uwzględnia i dane z r. 1909, zebrane dla ministerjalnego projektu ziemstw. Wyniki na ogół wyglądają bardzo naturalnie dla ludzi znających Litwę, jednakże na ogół te dane, wyprowadzone przez p. E. Maliszewskiego, rażąco odskakują na korzyść żywiołu polskiego w porównaniu z wiadomościami dawniej rozpowszechnionemi.

Opierając się na tak niewystarczającym materiale statystycznym, autor musi go przeszacowywać na podstawie osobistej znajomości stosunków i w końcu dochodzi do wniosku, że stan polskości na Litwie i Rusi pomimo polityki rządu nie przedstawia się tak nikło, jak o tem dawniej powszechnie sądzono. Autor uważa, że „bezwzględne tępienie żywiołu polskiego” rozpoczęło się w r. 1863; sądzę, że tę datę należy cofnąć o 30 lat wstecz, a conajmniej o 25 (w r. 1838 nastąpiło zniesienie unii na Litwie, Białorusi i Wołyniu).

Ogólną liczebność Polaków na Litwie i Białorusi autor ocenia w sposób następujący.

w g. wileńskiej	— 467 tys. co stanowi 26,5% zaludn.
„ „ kowieńskiej 198 „ „	11,4 „
„ „ grodzieńskiej 306 „ „	17,0 „
„ „ mińskiej 274 „ „	10,3 „
„ „ mohilewskiej 61 „ „	3,0 „
„ „ witebskiej 142 „ „	8,6 „

Ponieważ te dane pochodzą z r. 1909, więc dziś można oceniać liczebność ogólną na 1,500 tys. Ilość ziemi, posiadanej przez żywioł polski, autor ocenia na 5 mil. dziesięcin, co wynosi 1/6 część całej powierzchni — zdaniem autora — jest poważnym warsztatem do pracy. Oprócz tego półtora miliona na Litwie istnieje liczna ludność białoruska z wyznania katolicka, która w znacznej części stanowi ów materiał etnograficzny, o jakim wyżej była mowa.

Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie rzecz się przedstawia nieco inaczej. Autor zasadniczo zgadza się ze zdaniem J. Bartoszewicza, że „ilość katolików na Rusi jest w przybliżeniu równoznaczna z ilością

Polaków" — temu zagadnieniu wypada poświęcić słów kilka.

Wiadomo, że tam część ludności katolickiej stanowi t. zw. „szlachta czynszowa” lub „drobna szlachta”, narodowo dość słabo uświadomiona, często dwujęzyczna. Jeżeli co ją wyróżnia od ludu ukraińskiego, to poczucie pewnej wyższości, która dzisiaj przez nią samą nie jest rozumiana, ale łatwą jest rzeczą dojść do jego źródeł.

Oto drobna szlachta pomimo, że odrabiała nieraz czynsz na ziemi bogatszego szlachcica, społecznie zawsze była wolna, a nawet posiadała prawa polityczne równe szlachcie bogatej, i ta przepaść różnicy społecznej między nią a ludem ją otaczającym do dziś dnia nie zrównała się, pomimo, że już od półwieku wobec prawa i stosunków społecznych sama „szlachta” jest zrównana z ludem. Jeżeli ta szlachta tylko częściowo jest świadomym żywiołem polskim — w swej reszcie jest materialem etnograficznym ku polskości ciążącym. Pytanie, ilu na ziemiach Rusi jest rzeczywistych Polaków, a ile owego materiału etnograficznego? Rubrycelą z r. 1909 rachuje katolików:

na Wołyniu — 354 tys.
„ Podolu — 305 „
„ Ukrainie — 143 „

co z przyrostem naturalnym wyniesie obecnie około 850 tys.

Przed 25 laty urzędownie rachowano w tych trzech guberniach, stanowiących dycezyję Łucko-Żytomierską, katolików nie-Polaków 250 tys.; z przyrostem naturalnym dzisiaj tego żywiołu należałoby oczekiwać ze 350 tys.; jednakże owa liczba 250 tys. była wyprowadzona wprost dowolnie, a również należy pamiętać, że część tego żywiołu etnograficznego w ostatnim dziesięcioleciu przesunęła się ku polskości, to też dzisiaj zdaje się, że na ten żywioł katolicki narodowo nieuświadomiony należałoby odrachować ze 200 tys., a resztę uznać za Polaków. Zważywszy, że Polacy spotykają się i wśród innych wyznań, należy ich ilość, najostrożniej obliczoną, na Rusi przyjąć za 650 tys.

Ilość ziemi w polskim ręku autor ocenia na Rusi przeszło na 2,700 tys. dziesięcin. Autor oznacza ilość Polaków na tym obszarze na 800 tys. ale czy rzeczywiście ów materiał etnograficzny — „drobną szlachtę” — można uważać za całkowicie polski żywioł — o tem mogliby i powinni zabrać głos mieszkający Podolą, Wołynią lub Ukrainą, a „Ziemia” nie odmówiłaby gościny tego rodzaju obliczeniom i spostrzeżeniom.

Praca p. E. Maliszewskiego zasługuje na szersze rozpowszechnienie, gdyż prostuje niektóre fałszywe pojęcia i zachęca do zbierania danych ludoznawczych, które mogą się wiele przyczynić do wyjaśnienia rzeczy spornych i nieraz niesłusznie zapomnianych.

Antoni Sujkowski.

Szymon Matusiak. Wieszcza i źreb. Lwów 1912.

Praca pod powyższym nagłówkiem jest odbitką z kwartalnika „Lud”, który nie może, niestety, zdobyć sobie trwałych podstaw istnienia, chociaż jest jedynym czasopismem etnograficznym polskim.

Rozprawa p. Matusiaka, jakkolwiek niewielka po względem objętości, daje nader chlubne świadectwo o erudycji i sumienności znanego z innych prac autora; to też niepodobna wprost w krótkiej notatce sprawodawczej przebieść całego szeregu ogólniejszych twierdzeń i drobniejszych spostrzeżeń autora i należy poprzestać na podaniu jeno najistotniejszej treści jego wywodów. Tu autor wytknął sobie, jako cel główny, rozwiązanie zagadnienia, dlaczego los zwał się w staropolszczyźnie i zwie się po dziś dzień w innych językach słowiańskich *žreb*. Otóż, opierając się na świadectwach kronikarzy niemieckich z XI i XII stulecia, którzy opisują życie dawnych Słowian zachodnich, zwłaszcza pomorskich (tych należy uważać za najbliższych nam pod względem językowym i szczepowym), autor twierdzi, iż wśród nich była wielce rozpowszechniona wieszczba za pomocą konia i losów. Ponieważ konia zwano w języku starosłowiańskim *žreb* (a właściwie: *žrěbъ* i *žrebi*), więc wyrazem tym poczęto oznaczać samą wieszczbę tego rodzaju albo raczej jej wynik, dalej przeznaczenie, los człowieka, a wreszcie dział gruntu, w drodze losowania komu przypadły, bądź przyspadoobraniu, bądź przy osadzaniu pustych terytoriów. Na poparcie tego wniosku autor powołuje się na dokument Bolesława Wstydliwego z r. 1270, gdzie takie właśnie „losy ziemi (lac. *sortes*)” oddane są po polsku przez „srebe”. Ów „sreb” czyli „žreb” na oznaczenie roli, działki gruntu w tej lub mało co zmienionej postaci: „žrebie” (sc. pole) i „žrebcza” (sc. rola) przetrwał niemal do dni naszych. W dalszem uzasadnieniu powyższego twierdzenia autor wywodzi, iż pierwotny wyraz słowiański rodzimego pochodzenia „žreb” w znaczeniu „losu” lub „działki gruntu, losem wyznaczonej” zastępowano w późniejszych czasach nazwaniami obcymi, zapożyczonemi dla oznaczenia konia, jako to: „kawal” (kawel) i „kob” (ze średnio-wiecznej łaciny drogą wpływu germańskiego). Ostatni z tych wyrazów „kob” w połączeniu z „brać” (= *žreb* *brać*, t. j. los ciągnąć) wytworzył zbitkę „kobrać” (u Słoweńców = rzucać kostki, pierwotnie zaś losować), a stąd objaśnienie dla całego szeregu nazw fizyograficznych polskich (Kobier, Koberne i Kobierno, Kobiernica, Koberzyce, Koberzyn i in.).

Takie jest główne tło wywodów autora, nie pozabawionych w pewnym stopniu z powodu zawłości tematu cech hipotezy. Poza tem autor rozsunął sporo wywodów ubocznych, wiążących się tak lub owak z tematem zasadniczym. Mamy tu, nap. немало szczegółów, dotyczących wieszczbiarstwa u dawnych Słowian, mamy szerokie traktowanie wyrazu wróg, oraz genezę takich nazw, jak opole lub ścieżka; dalej objaśnienie etymologii wyrazów wieszcz, wila, leczyc, narok i in.

Ze swej strony dodać winienem, iż dopiero po przeczytaniu rozprawki p. Matusiaka pojąłem istotne znaczenie nazwy „Starożreby”, przywiązanej do wsi w Płockiem położonej, którą z dzieciństwa jeszcze pamiętam. Natomiast nie mogę się zgodzić z autorem, iżby nazwa „Płowce” (str. 50) pozostała w jakimkolwiek związku genetycznym z pławaczami czyli żeglarzami (staropol. „pławcami”), chociażby dlatego, iż zarówno historyczne „Płowce” w niesławskim jak i wiele innych miejscowości

o podobnej nazwie („Płowce“ w Poznańskim lub „Płowęż“ w Prusach królewskich) nie są położone nad rzekami, gdzieby mógł właśnie wyrabiać się ów lud wodny. Nazwy te poszły raczej z właściwości gleby („płowej“), jakkolwiek nie mogą na razie wypowiedzieć w tej materii stanowczego zdania. W zakończeniu notuję parę drobnych uchybień w stylizacji: przywrzało (zam. przylgnęło, str. 25), kroacki (zam. chorwacki, str. 24), oglądając się (str. 27), domyśliwanie się (str. 31) i in.

B. Ślaski.

Kalendarz Kijowski Leona Łdzikowskiego na rok 1914.

Spory ten tom poświęcony został w znacznej części opisowi i zresumowaniu rezultatów zeszłorocznej wystawy przemysłowo-rolniczej w Kijowie. Opis tej wystawy, pióra J. Ursyna, jest obficie ilustrowany. Ponadto znajdujemy tu życiorys ś. p. Aleksandra Jabłonowskiego p. B. Kutylowskiego, opis szpitala katolickiego w Kijowie wraz z życiorysem i portretem jego twórcy, ś. p. Stanisława Syroczyńskiego. Dla krajoznawców specjalne znaczenie ma „Wzmianka o Łabunie“ (miasteczku wołyńskim), pisana przez wytrawnego znawcę dziejów Rusi, podpisanego tym razem pseudonimem „Smora“. Drugą część kalendarza wypełniają zwykle, starannie opracowane rubryki informacyjne.

E. M.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

Burze, które szalały na wybrzeżu bałtyckim w początkach stycznia, przewyższyły wszystkie nawałnice, jakie ludzie mogą od 20 lat zapamiętać. Wzburzone fale morskie zniszczyły dobrobyt licznych rodzin włościańskich i rybackich. Zachodziły wypadki, że ludność ledwo życie zdolała ocalić.

Pod Gdańskiem zalane zostały szerokie przestrzzenie. Woda doszła aż do Sopotu, zalewając całą miejscowość i grożąc obaleniem domu kuracyjnego. Kładki morskie po części są poniszczone, jak również łazienki kąpielowe. Szczególnie szalały fale morskie w okolicy Orłowa. Rybacy całą noc bezustannie pracowali, aby uchronić przed zagładą swe sieci i łodzie.

W Jastarni Puckiej wicher północno-wschodni zalał falą pola i siola. W pobliżu Cejnowy (Chalup) mierzeja w dwóch miejscach jest przzerwana. W niektórych miejscach woda stoi na metr wysoko,

wskutek czego komunikacja między pojedynczymi zabudowaniami możliwa jest tylko na łodziach. Mieszkańcy wystraszeni chronili się do wyżej położonych mieszkań, ratując chudobę. Wszelka pomoc, była niemożliwa, gdyż parowce z Gdańska z powodu wzburzonego morza nie wypływały.

Nie inaczej wygląda pod Kuseldem. Mężczyźni z Cejnowy i Kuseldu bezustannie starali się za pomocą worków z piaskiem utworzyć tamę, gdy tymczasem kobiety z dziećmi unosiły w bezpieczne miejsce zapasy zimowe i wyprowadzały bydło.

W Jastarni Gdańskiej wschodnia i południowa część wioski zalana, a w jednym miejscu półwysep przzerwany. Morze zalało także cmentarz, znajdujący się o 200 metrów od Jastarni. Gwałtowne fale morskie co chwila odrywają masy ziemi, wypłukując w ten sposób resztki trumien i kości ludzkich.

Niezbędna jest szybka pomoc, o którą w niżej zamieszczonej odezwie błaga ks. Jarzębski, proboszcz z Jastarni:

„9 stycznia szalała straszna burza, która rybakom półwyspu helskiego ogromne wyrządziła szkody. Wicher północno-wschodni, jakiego od 20 lat się nie pamięta, wzburzył wody Bałtyku, pędząc je do zatoki Puckiej. W kilku miejscach przelewała się woda wprost przez półwysep z wielkiego morza do małego, wzrastała szybko, zalewając ogrody, łąki i drogi i napelniając sklepy i mieszkania ludzkie. Wiele rybackich rodzin, uciekając przed powodzią, opuściło swoje mieszkania, szukając schronienia u sąsiadów mniej zagrożonych. Straty ogromne, bieda i nędza jest wielka, głód przed drzwiami. O pomoc i wsparcie dla nieszczęśliwych powodzią nawiedzonych prosi pokornie“

Ks. Jarzębski, prob. w Jastarni
(Putziger Heisternest West Preussen)
Konto czekowe na pocztę w Gdańsku
№ 1636.

Nie potrzebujemy przypominać, że pomijając miłosierdzie, nie jest rzeczą obojętną, kto pomoc tę nieść będzie. Cała mierzeja helska, a zwłaszcza prześliczna Jastarnia, ulubione miejsce pobytu licznych gości polskich, zagrożona jest w ostatnich latach zakusami kapitalistów berlińskich, którzy zamierzają utworzyć tam komfortowe lotnisko. Do dziś dnia ludność mierzei z wyjątkiem samej osady Hela, położonej na najdalej wysuniętym w morze cyplu, jest polska. Jest sprawą doniosłą i nagłą, aby ludność otrzymała pomoc z rąk polskich, aby ją otrzymała natychmiast i w wystarczającej mierze! Byłoby to zresztą tylko splacenie naturalnego długu wdzięczności, za niezapomniane chwile, jakie tyłu z nas spędziło w tym uroczym zakątku nadbałtyckim.

TREŚĆ: *Franciszek Chłapowski* — Osobliwości przyrody poznańskiej (c. d.) (z 6 ryc.). *Franciszek Gawełek* — Podhorce (c. d.). *Aleksander Janowski* — Listy z podróży naokoło świata. *Adam Chętnik* — Z Zielonej Puszczy (z 4 ryc.). *Ludwik Sawicki* — Trąba śnieżna w okolicy Warszawy. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Z piśmiennictwa. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Wkładka: Jezioro w Chelmicy, pow. lipnowski.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiąg.**